TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

Vol. 3 Nr. 29 (134) Nowy Jork, 29go lipca — New York, 21, N. Y., July 29th, 1945. Cena 20 ct.

"ZA WASZĄ WOLNOŚĆ"



GROBY POLEGŁYCH ŻOŁNIERZY POLSKICH Z DRUGIEGO KORPUSU NA CMENTARZU POD OSSIMO

JAN WOLNY

Dwugłos na placu Teatralnym

W niedzielę 1go lipca, w dwa dni po utworzeniu w Moskwie rządu "Jedności Narodowej", policja warszawska wezwała przez uliczne głośniki mieszkańców miasta do wysłuchania przemówień nowych członków rządu na Placu Teatralnym.

Przed wojną wielkie zgromadzenia publiczne Warszawy odbywały się na Pl. Piłsudskiego. Nowi wielkorządcy Warszawy zerwali z tą tradycją, jak ze wszystkiemi innymi. Za tło swych zgromadzeń obrali oni stojące naprzeciw sobie ruiny ratusza i opery, pałacu Blanka i kościoła Kanoniczek. Ocalały monumentalny balkon pierwszego piętra opery służy czerwonemu faszyzmowi polskiemu do tych samych celów, którym balkon w Palazzo Venezia służył Mussoliniemu.

Z suteryn, schronów i piwnic Warszawy zeszła się na zgromadzenie wielka ciżba ludzka, podniecona wiadomością, że w wiecu wezmą udział dwie wedety świeżo przybyłe z Londynu, pp. Grabski i Mikołajczyk, którzy może przywieźli z sobą jakąś zmianę na lepsze. Jakoż usłyszano ich obu, i wysłuchano także pp. Osubki i Gomółki, których witano bez entuzjazmu, — tak przynajmniej wygląda to nawet w świetle lubelskiego radia.

Spróbujmy, w spokoju i bez złośliwości, zdać sobie sprawę z tego, co wszyscy ci panowie powiedzieli warszawskiemu tłumowi.

Prof. Grabski rozpoczął od tego, że jako zapewne najstarszy na całym placu, ma długie doświadczenie polityczne i społeczne. "Pozwólcie mi, Rodacy, dać Wam parę słów rady. Jeśli jedność narodowa ma być tylko formalna, to rząd jedności narodowej... nic nie pomoże, nic pozytywnego nie wskóra, nawet bardzo długo nie potrwa, jeli nie będzie ducha jedności narodowej w naszych sercach". Po długich oklaskach, mówił dalej:: "Dlatego też wzywam Was, w tym wspaniałym dniu jedności narodowej, abyście zapomnieli o tem, co nas wczoraj dzieliło, abyście pozbyli się z waszych myśli i serc wszelkich złych uczuć przeszłości i złączyli się w myśli o jutrze, o lepszym jutrze, nietylko dla nas samych, ale dla naszych dzieci i wnuków". Tłum znowu długo klaskał.

W tłomaczeniu na język polityczny, sens słów Grabskiego był ten, że rząd powinien zaprzestać prześladowań politycznych, bo inaczej wyjdzie na wierzch, że rzekoma jedność jest fikcją.

Odpowiedź na zapytanie Grabskiego nastąpiła natychmiast. Osubka-Morawski był innego zdania. Powiedził on, że nowy rząd wprowadził do polskiego życia politycznego jasność i stałość. "Demokracja polska przyszła do władzy nie na krótko, ale na dobre". "Linja polityczna polskiego komitetu wyzwolenia, a potem rządu tymczasowego, teraz przekształconego na rząd jedności narodowej, pozostaje bez zmiany. Ta polityka zwyciężyła". "Utworzenie rządu... pozwoli na mobilizację panujących nastrojów ludu dla ostatecznego załatwienia rachunków z reakcjonistami". Nastąpiły wymysły pod ich adresem. "Ciemni huligani znikną z areny politycznej"...

Świeżo przybyły Grabski wzywał do zgody i zapomnienia przeszłości. O 40 lat młodszy Osubka, ufny w obce bagnety, na których siedzi, i posłuszny instrukcjom, które dopiero co otrzymał w Moskwie od Mołotowa (scena utrwalona na znanej fotografji prasowej), odpowiedział mu, że niema zgody, ani zapomnienia, że niema jedności, skoro wszystko pozostaje bez zmian, że będzie dalszy teror. Kto ma rację w swoich przewidywaniach? "Nawet rząd ten bardzo długo nie potrwa"..., jak mówi Grabski, czy "demokracja polska przyszła do włdzy na dobre"..., jak mówi Osubka? Czy Grabski, czy też Osubka dysponuje policję? Kto z nich wygodniejszy dla Kremla?

Wiec trwał dalej; oklaski długo nie dawały dojść do słowa Mikołajczykowi (muż lepszy od innych, a nuż mniej zaprzedany— tak oto myślał tłum i dlatego na kredyt mu klaskał). Mikołajczyk, który nabrał wprawy w Londynie, mówił tak, jak gdyby to on był premierem i mógł o jeden włos odchylić politykę prawdziwych pełnomocników Moskwy. — Niedługo zapewne mu to przejdzie, bo przypomną mu, że rząd warszawski jest jak ten pasztet z jednego konia i z jednego zająca, i że zające winny cicho siedzieć pod miedzą. Ale narazie mówił o bohaterstwie Warszawy, o jej przejmujących zgliszczach, o duchu jej mieszkańców, o tem że tacy ludzie nie zginą, że zasłużyli na lepszą przyszłość. Mówił o tem, że nawet mocarstwa nie mogą liczyć na samodzielne bezpieczeństwo, "gdy wciąż istnieje możliwość odrodzenia się hitleryzmu lub faszyzmu", gdy już teraz "arogancja niemiecka zaczyna podnosić głowę". — Dlatego też powiedział "szczerze i z głębokiem przekonaniem, że wolna, niepodległa, demokratyczna, suwerenna Polska musi żyć w możliwie najściślejszej przyjaźni z naszym sąsiadem, Związkiem Sowieckim". Nawet tego jest za mało. "Marszałek Stalin miał rację, mówiąc dwa dni temu, że niebezpieczeństwo odrodzenia hitleryzmu trwa, nawet przymierze polsko-sowieckie samo w sobie nie wystarcza, i że Polska i Związek Sowiecki powinny **na ten czas** mieć aljans z Francją i z W. Brytanją".

Te komplementy pod adresem Warszawy i Sowietów były tylko wstępem do istotnego punktu, który jest zapewne głównem zadaniem Mikołajczyka w rządzie, przynajmniej w jego własnem wybrażeniu. "Wierzę, że przez naszą współpracę uzyskamy powrót do Polski możliwie największej ilości Polaków z zagranicy. Bo chcę Wam powiedzieć, że niema ani jednego polskiego żołnierza, n. p. w zachodniej Europie, ...któryby nie zasługiwał na to, gdy łamie się jego krgęgosłup moralny, aby wrócić do Was, do rodziny, do dzieci... aby złączyć się z Wami w pracy dla lepszego jutra" (długie oklaski). Zbrodnią byłoby nie zapewnić powrotu do Polski intelektualistów polskich, uczonych, nauczycieli, techników i inżynierów, których wielka ilość "mieszka zagranicą". Polska ma prawo do "pomocy międzynarodowej z zagranicy", dopóki nie będzie mogła stanąć na własnych nogach. "Trudne dni stoją przed nami. Bezwątpienia będzie wiele rozczarowań i dużo niezadowolenia". "Chciałbym wezwać także i tych obywateli, którzy nawet dzisiaj kryją się po lasach, aby z nich wyszli"...

Mikołajczykowi odpowiadał Gomółka, starszy wice-premjer, który przynajmniej nie udaje, że nie jest komunistą. Nie mówił o ruinach Warszawy, bo się do nich przyczynił latem zeszłego roku, ani o duchu jej mieszkańców, bo ten duch nie pachnie Rusią. Nie mówił, broń Boże, o powrocie żołnierzy i inteligentów, bo ci przeszkadzaliby mu w budowie sowieckiej Polski. O czem on mówił? Mówił oczywiście o klice reakcjonistów, którzy chcą zakazić naród polski trującą nienawiścią do Zwiazku Sowieckiego, o "trującej propagan-

dzie, jakoby czerwona armja dławiła wolność Polski.” “Muszę przyznać, że ta propaganda miała przez jakiś czas powodzenie”. Mówił dalej, że możemy wiele nauczyć się od sąsiadów, od Amerykan — jak pracować, od Anglików — jak dbać o siebie i bronić interesów narodowych. A czego możemy się nauczyć od Sowietów? “Nauczmy się ponad wszystko tak kochać naszą wolną i niepodległą ojczyznę, jak naród sowiecki kocha swoją ojczyznę”. Jeśli to zrobimy, to pokonamy spory wewnątrz narodu nietylko napozór, ale w rzeczywistości, jak sobie tego życzy Prof. Grabski.

Po mowie Gomółki nie było oklasków i wiec został rozwiązany. Nie wiemy, z jakiemi uczuciami tłum wracał do nor i jaskiń, które zamieszkuje. Sądzimy, że ci którzy (pod nieobecność Gomółki) bez załamania przeszli obronę Warszawy, pięć lat okupacji i powstanie warszawskie, dziwili się ironicznemu obrotowi historji, przy którym lekcje o miłości ojczyzny mógł im dać człowiek, aresztowany latem 1920 roku w Łodzi za to, że będąc żołnierzem polskim, wzywał innych żołnierzy do dezercji.

Podsumujmy bez uprzedzeń cztery przemówienia. Sędziwy oportunista Grabski jakby z ambony wzywa do zgody i do naprawy dusz polskich. Ponury histeryk Osubka zapowiada dalszy teror. Wciąż wierzący w swą gwiazdę Mikołajczyk chce utrzymać związki polityczne z Zachodem i sprowadzić emigrantów wojskowych i cywilnych. Konsekwentny Gomółka odpowiada mu, że ważniejsze jest pozbyć się przesądów wobec Rosji, i od niej nauczyć się patrjotyzmu.

Jak może być jedność w rządzie, w którym, w dwa dni po jego utworzeniu, jedni chcą zgody, a inni walki, jedni patrzą na zachód, drudzy na wschód? Jest niepodobieństwem posuwać się równocześnie w dwóch przeciwstawnych kierunkach. Kierunek rządu warszawskiego może być tylko jeden, nadany przez większą siłę fizyczną. Jeżeli w rządzie tym odbywa się polityczne przeciąganie sznura, to 18 komunistów ma w nim sześć razy więcej siły od 3 niekomunistów. Jeżeli do komunistów dodać armję czerwoną i czerwoną sowiecką policję, to chyba nie pozostanie wątpliwość, kto musi wygrać w tym sporze.

Ludowe przysłowie rosyjskie powiada: “pazurek uwiązł, i już po ptaszku”. P. Mikołajczyk tak właśnie zaczepił się jednym pazurem w sowieckim potrzasku, — wszystko jedno czy dobrowolnie, czy pod naciskiem szantażu. Za uczestnictwo w rządzie swoje i dwóch innych zapłacił straszliwą cenę, bo umożliwił zagranicy ostateczne, formalne i pozornie usprawiedliwione umycie rąk od losu Polski. Zobaczymy jak długo pomimo tej ceny — obroża, którą mu w Moskwie nałożono, pozwoli mu oddychać.

Ś. P.

MARJA Z KOSSAKÓW

Jasnorzewska

(PAWLIKOWSKA)

POETKA

której wiersze zostaną nazawsze jako bezcenne
klejnoty w naszej literaturze
udręczona tęsknotą
zmarła w Manchester w dniu 9 lipca 1945 roku.

W żałobie pogrążeni, najgorętszem wspomnieniem
żegnają ją przyjaciele.

PISARZE Z POLSKI.

ANTONI CWOJDZIŃSKI

NIE WRÓCĄ DO POLSKI

Parę dni temu Ameryka uznała reżim warszawski, utworzony w Moskwie. A raporty oficerów amerykańskich mówią, że po za jakimiś wyjątkami polscy żołnierze do Polski nie wrócą...

Pamiętam, jak wychodziłem z nimi z Polski.

Przez granicę szliśmy małymi grupkami, po dwu, po trzech, co najwyżej czterech, bo pas graniczny był świetnie pilnowany. Trzeba było omijać drogi i iść bez ścieżek, na przełaj, korytami strumieni, najgęstszym lasem — a tylko nocami Ale miejscowi górale znali świetnie wszystkie percie i steczki, i wiedzieli gdzie stoi niemiecki posterunek, a którędy i o której chodzą patrole. I umieli tak poprowadzić, że zawsze przed świtem było się w jakiejś samotnej chałupie, w której przeczekа się dzień.

Bez takiej chałupy, gdzie można zjeść coś ciepłego i wypocząć przed nową nocą, nikt nie dałby rady. Najsilniejsi tracili siły po całorocznym marszu na mrozie, po górskich wertepach i skałach. A tych sił nikt nie miał wiele, bo od wybuchu wojny wszyscy byli stale głodni. Więc parę godzin w cieple i garnuszek gorącego mleka był czymś, czego wartość trudno dziś tu ocenić. Niemcy wiedzieli o tym dobrze i strasznie karali chłopców za taką pomoc. We wsi, do której przyszedłem w cztery dni później, złapali dwu żołnierzy w stodole. W śledztwie połamali im żebra i potem, nie męcząc, dobili, ale z gospodarzem bawili się dłużej, najpierw, zwoławszy całą wieś, poprowadzili go pod chałupę i na jego oczach spalili mu ją, potem kazali stać boso na płonących węglach i wołać "Heil Hitler", gdy nie mógł ustać, bili po stopach żelaznymi pałkami, póki nie zostały z nich krwawe płaty mięsa. A potem zagnali ten strzęp pokrwawionego ciała na plac przed kościołem i w obecności całej wsi — powiesii. Dla postrachu — nie pozwolili trupa zdjąć ze sznura przez trzy dni.

Straszne te kary nie odstraszyły nikogo. Szli noc w noc przez przygraniczne wsi żołnierze do wojska polskiego, a gospodarze nie odmawiali swych chat. W tej właśnie wsi — widziałem jeszcze na śniegu krwawe ślady stóp — pierwszy gazda, do którego zastukałem, przyjął mnie.

— Jest u mnie już trzek tokich jok pon, to będzie czworty — powiedział i filozoficznie uśmiechnął się.— Jokby złopoli, za cterek dadzom grubsy śnurek, jok za trzek, to nic będzie uwierоł mnie w syje.

Tych trzech poznałem w stodole. Inżynier z fabryki samolotów pod Warszawą, mechanik z miasteczka pod Poznaniem i uczeń gimnazjum we Lwowie. Przekradł się tutaj, bo tam pilnowali granicy ruscy chłopi i o przejściu na Węgry nie mogło być mowy.

Przegwarzyliśmy cały dzień. Inżynier szedł, bo dostał rozkaz od władz podziemnych, ale zostawił żonę i dwoje małych dzieci w Warszawie. Zapytany, odwrócił głowę i milczał. Nie chciał o tym mówić. Mechanik za to sam chętnie opowiadał o swojej dziewczynie, z którą jużby się ożenił, gdyby nie ta wojna.. A uczeń miał we Lwowie całą rodzinę. Dwie siostry, ojca, matkę i małego braciszka.

— Ale chyba już ich nie zobaczę — powiedział krótko, patrząc przed siebie.

Zaczęli pocieszać go.

— Co pan takie rzeczy mówi — zaprotestował mechanik. — Jest to źle, to prawda, ale akurat dlatego idziem się bić, żeby tę wolność odbić i wrócić. Ja wiem, że wrócę i moją Jadźkę zobaczę! Jakbym nie wierzył, wolałbym chyba obwiesić się... Bo po co miałby się człowiek tak męczyć i poniewierać, jakby nie wierzył, że wróci!

— To dobrze pan powiedział — poparł go inżynier. — Właśnie dlatego idziemy z Polski, żeby bić się o Nią i wrócić do wolnej...

— Że wrócę, to i ja wierzę, — odpowiedział ponuro student — ale swoich już nie zobaczę. Wywieźli wszystkich.. Ja jeden zostałem, bo nie było mnie wtedy w mieście. Ojca zabrali gdzieś na północ... do rąbania lasów na Syberii, matkę — na południe do Kazakstanu, a o siostrach i braciszku... nie wiem nic. Kto ich gdzie kiedy znajdzie!...

Inżynier i mechanik zamilkli, ale po chwili gospodarz wmieszał się do dyskusji.

— A jo powiem, ze nie jest to tok jok ponic mówiom. Jo byłek przez dziesienc roków w Hameryce i znom świat! Ho.. Ho.... I powiem ponicowi, że nie jest to tok i nie będzie tok! Świot po tyj wojnie będzie porzondkować Hameryka, a Hameryka się nie zgodzi na niewolnictwo. Bo Hameryka sama ciężko walcyła o swoje wolność i pomienta to. I zawse stonie po stronie za wolnościom, a przeciw krzywdzie i zbrodni.

To obudziło we wszystkich niespodziewany optymizm.

— O tak! Jeżeli Ameryka....

— Żeby się wmieszała!

— Miemiec jom wmieso, o jok i we tomtyj wojnie.

— Chyba.... chyba, że Ameryka!— westchnął student, a w jego westchnieniu była tęsknota całej Polski i całego świata do wolności człowieka, której symbolem była dla nich Ameryka.

W nocy poszliśmy dalej w czwórkę i dalej marzyliśmy o tej sprawiedliwej Ameryce.

I szły tak i marzyły noc w noc dziesiątki i tysiące — razem 80 tysięcy ich przeszło, gęsto ścieląc trupem drogi przez Karpackie przełęcze, a nieśli w sercach wielkie marzenie o wolności i wiarę, że wrócą do Wolnego Kraju.

I poszli z tą wiarą w sercach bić się o Londyn, o Narwik, o Tobruk, o Monte Cassino i Normandję i Holandję i Lombardję i przelewali krew na wszystkich polach bitew wszystkich frontów Europy i Afryki o wolność wszystkich, lecz nie — swoją. Wśród przetargów politycznych nikt nie upomni się o ich matki i siostry, i ojców, i braci, zagrzebanych w tajgach Sybiru — i do Polski nie wrócą.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription
Monthly 80 cents
Half yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

POMNIK JAGIEŁŁY, RŻEŹBA STANISŁAWA OSTROWSKEGO, ODSŁONIĘTY W CENTRAL PARKU



Pomnik Jagiełły, odsłonięty został wreszcie 15 lipca, w rocznicę grunwaldzką, w Central Parku nowojorskim, w czasie uroczystości, popsutej przez deszcz ale dobrze przez komitet przygotowanej, w czasie której mocno i gorąco przemówił prezes Onka, a rektor Halecki wygłosił w wielkim stylu naukowym orację.

Ci, którzy krzątali się i troskali aby pomnik stanął, pan Onka, prezes Komitetu Wykonawczego, pan prezes Ignacy Nurkiewicz i pan Pateracki dobrze się zasłużyli przez to i Polonji i Polsce.

Pomnik jest bardzo piękny, bardzo oryginalny i jest bodaj że najlepszem dziełem artysty, ku któremu szłaby dziś ogólna polska wdzięczność, gdyby nie odciął się on od większości społeczeństwa wystąpieniami politycznemi, myślimy że tylko nierozważnemi, ale niemniej przynoszącemi prawdziwą szkodę naszej sprawie w najgorszej dla Polski chwili.

Będzie ten pomnik świadczył dobrze o naszej sztuce i będzie mówił o przeszłości naszej, zupełnie nieznanej, a takiej samej przez wieki wieków, jak ta walka nieugięta przez pięć lat, za którą nam odpłacono teraz niewolą.

Napis, którego jeszcze niema na pomniku powinien mówić wyraźnie, że Polska zawsze pierwsza biła się z przemocą i powinien wzywać świat do pamięci o tem, przypominać mu o jego niespłaconym długu.

ARKADY FIEDLER

RZEKA POKOJU W KANADZIE

3. ZIEMIA CZEKA!

— Czy Kanada chciałaby mieć po wojnie immigrantów z kontynentu europejskiego.

— Nie!

— Dlaczego nie?

— Bo Kanada będzie miała dość kłopotu z ulokowaniem swych zdemobilizowanych żołnierzy, a pozatem nie chcemy dopuścić w kraju do ewentualnego bezrobocia!

Taka jest opinja 9 na 10 przeciętnych Kanadyjczyków, obojętne z których warstw ludności pochodzących.

Pokutują w nich reminiscencje smutnych doświadczeń po Pierwszej Wojnie Światowej, pomimo że teraz wszystko jest inaczej i że Kanada przygotowała powracającym żołnierzom przyjęcie, które nzwaćby można królewskiem: każdego żołnierza czeka gratyfikacja pieniężna ,wynosząca np. 30 dolarów za każdy miesiąc przebyty za morzem; czeka go do wyboru już przygotowane przez rząd gospodarstwo rolne czy rybackie czy podmiejsko-warzywne, każde wartości 6000 dolarów, częściowo darowanych, reszta na wspaniałomyślne spłaty; czeka małego businessmana pożyczka do 3500 dolarów, czeka akademika utrzymanie w wysokości 60 dolarów miesięcznie oraz opłaty uniwersyteckie kosztem rządu aż do ukończenia studjów, itd., itd.

Jeżeli problemat powracających żołnierzy można uznać za rozwiązany, to druga bolączka, obawa przed bezrobociem, sprawia więcej kłopotu. Mało kto wierzy tu w Kanadzie w powodzenie zbawiennych planów zatrudnienia wszystkich pracowników na stałe, planów wyrastających jak grzyby po deszczu, — i ten frasunek wytworzył wśród Kanadyjczyków znamienny kompleks: wiarę, że zbawienie przyjdzie od Rosji Sowieckiej. Kanadzie wpojone nadzieje wielkiego eksportu do Rosji po wojnie, co — nawiasem mówiąc — odbija się na łamach większości prasy silnym akcentem antypolskim: wiele można czytać tu o landlordach i podobnych nieprzyjemnych rzeczach, a mało, prawie nic, np. o polskiej dywizji pancernej, która walczyła w armji kanadyjskiej pod gnerałem Crerarem. Gdy dnia 29, czerwca 1945 telegramy z Londynu przyniosły sugestję przeniesienia polskiego rządu londyńskiego do Kanady, posypały się silne i stanowcze protesty.

Lecz pomimo ogólnej opinji ujemnej w sprawie imigracji są koła kanadyjskie, i to koła, mające wpływ na drogi rozbudowy gospodarki kanadyjskiej i stojące niedaleko rządu federalnego w Ottawie, — które odmiennie zapatrują się na kwestję tę i liczą się z możliwością imigracji europejskiej, czy to dla dobra rolniczego rozowoju samej Kanady, czy jako narzucony z zewnątrz wynik rozładowania międzynarodowych napięć. Koła te uświadamiają sobie, że straszliwie powikłane zagadnienie tak zwanych "displaced people" w Europie, odłamów społeczeństw wyrzuconych dziś z własnego kraju dla przyczyn politycznych — może odbić się, prędzej czy później, u brzegów Kanady potężną falą, narzuconą krajowi przez międzynarodowe czynniki. Zapewniano mnie, że w Ottawie już teraz przygotowuje się, tymczasem cicho tylko i teoretycznie, na tę ewentualność, zbierając wszelkie potrzebne elementy, by móc ująć natychmiast w karby, w razie potrzeby, ulokowanie owych displaced people, do których zalicza się Finlandczyków, Czechów, Węgrów, Rumunów, przedewszystkiem zaś Polaków, których wymienia się na pierwszem miejscu.

Czy Kanada jest fizycznie zdolna do wchłonięcia większej ilości imigrantów?

Natychmiastowe zastrzeżenie: żadnego imigranta, za żadną cenę, do jakiegokolwiek miasta. Miasto kanadyjskie to tabu.

A na rolę? Co do ilości zdatnej ziemi poglądy są ogromnie podzielone. Jedni twierdzą, że Kanada mogłaby szybko pomieścić 5 miljonów imigrantów; inni, że 10 miljonów; jeszcze inni, że już nikogo nie może. Do tych ostatnich należy Frank R. Scott, który w swej pracy "Canada today" dowodzi, że wszystkie grunta, zdatne do uprawy, są już prawie rozebrane, a teraz pozostaje tylko kwestja parcelowanie większych majątków, t. j. tych, co mają po kilkaset i więcej akrów. Parcelacja ta dałaby, według Scotta, 2 do 3 miljonów nowych farm, lecz tę rezerwę należałoby trzymać dla siebie, dla potrzeb naturalnego przyrostu ludności. Więc żadnych europejskich imigrantów!

Jeden z moich informatorów, rządowy spec od spraw osiedleńczych, oświadczył, że Scott się myli, gdyż przyrost ludności z roli ciągnie nieprzeparcie do miast, pozostawiając ziemię dla kogoś innego.

Wśród tych różnych kontrowersji rząd kanadyjski, przygotowując w ostatnich czasach farmy dla powracających żołnierzy, zostawił jakby ogólny bilans ziemi, jeszcze niezajętej. Farmy dla żołnierzy przygotowano na bogatych preriach w tak zwanym pasie ekonomicznym, w tak wielkiej ilości, że wątpliwe, czy wszystkie znajdą amatorów. A jeżeli żołnierze ich nie nabędą, to dla kogo pozostaną? W samej dolinie Kootenay, jednym z najżyźniejszych okręgów Kolumbji Brytyjskiej, rząd zarezerwował 2 miljony akrów (około 20.000 farm), i rozmówca mój wyraził przekonanie, że żołnierze z pewnością ani połowy tych gruntów nie obejmą.

Lecz największy kompleks ziem zdatnych pod pług, otwarty stosunkowo niedawno temu dla eksploatacji, jest nad rzeką Pokoju, zarówno w Kolumbii Br. jak i w Albercie. — Część tego kompleksu stanowi Peace River Block, sławny już dziś urodzajną glebą, znakomitym klimatem i bogactwem odkrytych równocześnie minerałów. Powstał tam już szereg osiedli farmerskich, między nimi sudeckch Niemców w Tupper, lecz, jak dowiedziałem się ze źródła najbardziej wiarogodnego, znajduje się jeszcze niezajętych 12 milionów akrów najlepszej ziemi pod orką. 12 milionów akrów, to znaczy około 120 tysięcy farm.

Tyle co do fizycznych możliwości ewentualnej immigracji rolniczej do Kanady w najbliższym okresie czasu.

4. MOŻLIWOŚCI POLSKIEJ EMIGRACJI

Po stwierdzeniu, że niewątpliwie ziemi dla emigranta-farmera jest jest dość w Kandzie, nasuwa się pytanie, jak do tej ziemi dotrzeć?

Jeżeli po wojnie ma przyjść do jakiejkolwiek immigracji do Kanady na większą skalę, np. części owych "displaced people" z Europy, ta każdy tego rodzaju plan musi mieć na oku dwa zasadnicze cele: rozbrojenie ogólnej niechęci Kanadyjczyków do immigracji, a szczególnie do immigracji z kontynentu europejskiego; po drugie, uzbrojenie immigrantów w dostateczne do nowego życia środki materialne. Obydwa cele można osiągnąć za jednym pociągnięciem, i udany eksperyment z sudeckimi Niemcami w Tupper, B. C., dał nie tylko uderzający przykład, lecz i ka-

pitalny precedens: Kanada zgodziła się chętnie (może i niechętnie, le to obojętne, skoro się zgodziła!) przyjąć uchodźców i urządziła im pomyślne życie tylko dlatego, że przyjechali z odpowiednim kapitałem, dostarczonym im przez Wielką Brytanię.

Wtedy było coprawda tylko kilkuset uchodźców politycznych, dziś z pewnością będzie ich wielokrotnie więcej. Dziś jest to już brzemienny problemat mędzynarodowy, i może być rozwiązany — jeśli w ogóle może być — tylko w najszerszej płaszczyźnie międzynarodowej.

Nie wypowiadam tu własnego zdania, lecz powtarzam tylko sugestje pewnego Kanadyjczyka, kompetentnego dyrektora od spraw immigracyjno-osiedleńczych; co w roku 1939 uczyniono z sudeckimi Niemcami, dziś możnaby zrobić to samo, tylko w innej proporcji. W 1939 Wielka Brytanja wzięła na siebie cały ciężar finansowy, co dziś jest niemożliwe. Dziś musi powstać jakaś instytucja międzynarodowa, bogata w środki materialne i w uprawnienia, oparta o autorytet Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych A. P. i równocześnie powagą moralną zdolna do rozwiązania zagadnienia "displaced people". Zdolna narzucić swą wolę odnośnym krajom immigracyjnym, a w szczególności Kanadzie, z jej bogatym i czekającym rezerwoarem ziem nad rzeką Pokoju. Taka instytucja powinna być w rodzaju UNRRY, lub po prostu sama UNRRA, w której poważny głos mogliby zabrać także przedstawiciele samych uchodźców. W wypadku Kanady — oświadczył mi ów dyrektor — plan w powyższy sposób przeprowadzony i jej narzucony (dyrektor podkreślił: narzucony), miałby wielkie widoki powodzenia i mógłby dość szybko udzielić pomocy i wytchnienia skołatanym przybyszom z Europy.

Tyle informacje, które uzyskałem raczej mimochodem, będąc w Kanadzie w innym, niż badania immigracyjne, celu, — i którymi to wiadomościami dzielą się uczciwie z ogółem w poczuciu obowiązku obywatelskiego. Niewątpliwie niejeden z bardziej przedsiębiorczych Polaków, bez względu na układy polityczne Europy, będzie chciał opuścić ten rozpalony kocioł chaosu i założyć ognisko w szczęśliwszym kraju. Kanada rozwinęła do szczytu zasady demokracji i poszanowania godności ludzkiej, to tutaj nie jest czczą pogaduszką, to istotny fakt.

Więc chciałbym, żeby wszyscy ci, którzy myślą, otwarcie czy nieśmiało, o emigracji za morze, znali w ogólnych zarysach możliwości kanadyjskie. Lecz równocześnie chciałbym ich serdecznie ostrzec przed zbyt pochopnymi wnioskami i wygórowanymi nadziejami. Kanada nie wszędzie i nie zawsze pachnie żywicą. I droga do Kanady nie jest bynajmniej otwarta, jest dziś wyraźnie zamknięta, a powyżej wskazywałem tylko na pewne możliwości otwarcia jej, możliwości najeżone wielu zasadzkami i niespodziankami.

Lecz w razie gdyby widoki emigracji do Kanady miały wyglądać różowiej i Polacy w tym ruchu mieliby wziąść udział, chciałbym, by mi pozwolono wyrazić jedno ważkie życzenie: byśmy do sprawy tej przystąpili uczciwie. Uczciwie, bez krętactw, bez kantów, ani pleców ani łokci. Legitymację do tej przestrogi daje mi doświadczenie kilkunastoletnich wędrówek po koloniach polskich na pwiecie i napatrzenie się na nędzę ocyganionych emigrantów, ginących za to, że gdzieś, z wygodnych centr, kierowali ich losami ludzie niewłaściwi. Stało się u nas od lat jakimś tragicznym obyczajem, że do tych "kolonialnych" rzeczy zabierała się niekompetencja, karygodna lekkomyślność, chorobliwa ambicja i nieuczciwość, zwykła, paskudna nieuczciwość. Ludzi nieuczciwych nie brak nam i dziś.

"Wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej". Polacy należą do Polski; tam i tylko tam, jest ich przeznaczenie. Choć jeszcze nie wiadomo, jak ułożą się stosunki. Lecz bez względu na to, jak nam będzie, dobrze czy źle, na wozie czy pod wozem, nigdy nie zaszkodzi jak największa suma wiadomości o świecie: więc dobrze jest wiedzieć, że w Kanadzie nad rzeką o miłej i niepustej nazwie rzeki Pokoju ciągną się połacie bogatej ziemi, czekającej na siewcę i mogącej dać spokój i szczęście człowiekowi, który będzie domagał się tej ziemi uczciwie i energicznie. Na przykład człowiekowi pokroju tych, którzy znaczenie dawali takim nazwom jak Tobruk, Cassino czy Falaise.



Obrazy polskie w Ameryce *JÓZEF CHEŁMOŃSKI: SANNA*

JAN LECHOŃ

Valery wielki i zabawny

O Paul Valery, który umarł przed paru dniami napisano we wszystkich nekrologach, że był największym współczesnym poetą francuskim.

Kiedy przebiec myślą nazwiska tych tylko, którzy pisali w okresie, gdy Valery osiągnął już swoją sławę, doszedł do wielkich honorów, natrafia się na imiona prawdziwego blasku, na poetów prawdziwych, ulubieńców jeśli nie ogółu to w każdym razie ważnych kół i kapliczek.

Jules de Supervielle, Henri de Regnier, pani de Noailles, Leon Paul Fargue, Jean Cocteau, Louis Aragon, Paul Eluard—cokolwiekby o nich sądzić, wydali każdy po parę przynajmniej tomów—w okresie, gdy Valery pod coraz nowemi okładkami, w coraz nowych kombinacjach przedstawiał wciąż tych samych kilkanaście wierszy, te same wciąż trzy zeszyciki „Album des vers anciens", "La jeune parque" i "Charmes", będące całym jego poetyckim dorobkiem.

I mimo to, mimo zjadliwości jego przeciwników, mimo całych kampanji wiedzionych przeciw rzekomej niezrozumiałości jego poezji — Valery uchodził w oczach ogółu za największego poetę Francji i zachował do śmierci stanowisko w poezji francuskiej wyjątkowe, które wojny z nim toczone tylko utwierdzały.

Cóż dziwnego, że Aragon i Eluard, komuniści i nowatorzy nie mogli się z nim mierzyć albo Cocteu, wyzywający programowo opinję afiszowaniem swych perwersji — jeśli nawet wielki Claudel, arcykatolicki i do tego najprawdziwszy ambasador, szedł w światowej hierarchji przed Valerym jako ambasador ale nie jako poeta.

Ta sytuacja tak wyjątkowa była oczywiście przedewszystkiem symboliczna i możnaby zaryzykować paradoks, że Valery zdobył ją nie pomimo tego, że napisał tak mało, ale może i dlatego także.

Trzy tomiki jego wierszy i kilka niedużych zeszytów rozważań prozą o sztuce i filozofji zawierały w sobie naprawdę esencję czystej poezji i czystej myśli, mogły były symbolizować myśl i sztukę samą.

W większym dorobku znalazłoby się zawsze coś do dyskusji, coś mniej skończonego, co byłoby skazą na tym pomniku poezji, jakim Valery ludzki, dowcipny i sceptyczny stał się mimowoli jeszcze za życia.

Jego twórczość rozważana niezależnie od tego niezwykłego i nawet we Francji wyjątkowego przeznaczenia jest naprawde jednym z najczystszego blasku klejnotów poezji francuskiej.

Valery, idąc samodzielnie po ukazanej przez Stefana Mallarme drodze starał się zawsze zawrzeć jaknajwięcej inteligencji w jaknajmniejszej ilości słów. Wiersze jego były też esencją myśli czystej, kartezjańskiej — ale przedewszystkiem, co w tem połączeniu zdawałoby się niemożliwe, były esencją czystej i wbrew teorjom Valerego irracjonalnej poezji.

To też ksiądz Bremond, który stworzył termin "poezja czysta" i który ścierał się z Valerym, broniąc znaczenia inspiracji nadzmysłowej, uważał za jej najwymowniejsze przykłady właśnie niektóre kadencje Valery'ego, jak tę naprzykład:

"Patience, patience
Patience dans l'azur...

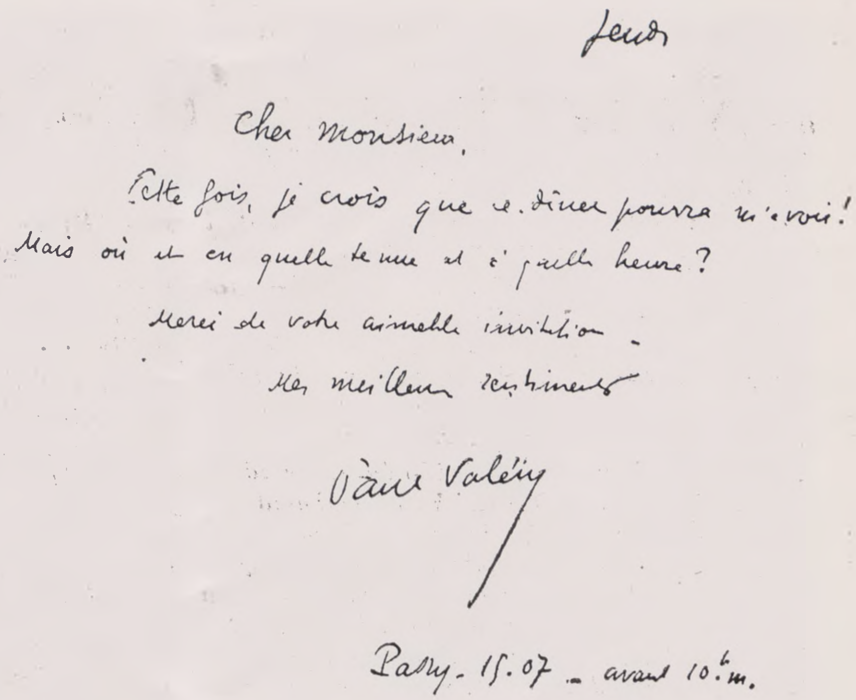
Valery nieczuły na religję, zagłębiony w matematyce i sceptyczny względem historji był jak nasz katolicki, historyczny i społeczny Norwid poetą dyskutującym ale dyskutującym przez poezję samą.

Rozumiejąc go naprawdę, czerpie się z jego wierszy rozkosz doskonałą myśli i smaku, ale nawet ten, kto go nie pojmuje, idzie za czarem jego wierszy, za ich muzyką w ów świat platoński, który dla Valery'ego był światem myśli a dla Księdza Bremonda światem modlitwy.

Napewno myśl przerastała w Valerym uczucie i wyobraźnię, skrupuły snycerskie zabijały w nim bezpośredniość, nigdy też niehamowana namiętność nie powodowała jego poezją. To wszystko sprawiało, że pisał tak mało, że ważył każde słowo, lękając się powtórzeń i banalności. Ale z tych walk i skrupułów wychodził zawsze zwycięsko; jego twórczość zawarta w paru tysiącach linijek — nigdy nie obniża się do rymowanego rezonerstwa, zawsze mimo swej najwyższej inteligencji pełna jest wieloznacznej i tajemniczej poezji.

Misia Sert, Polka, Godebska z domu, ale paryżanka jakich już niema, wiecznie naprawdę młoda, którą na przestrzeni, nie mówmy ilu lat, darzyli zachwytem i przyjaźnią najpierw Mallarme, Renoir, Toulouse-Lautrec a później Strawiński, Niżyński i Cocteau, sama jak Valery, będąca rodzajem instytucji paryskiej, ferującej bezapelacyjne choć niezawsze sumienne wyroki, znudzona i rozdrażniona sukcesem Valery'ego powiedziała o nim kiedyś "Mallarme pour les pauvres — Mallarme dla biednych".

W tej krzywdzącej złośliwości był napewno odcień wyrzutu wobec losu, który napozcr pokrzywdził Mallarmego, każąc mu do końca życia zarabiać niełatwo i zażywać uznania tylko u wybranych a nielicznych.


Jeudi

Cher Monsieur,

Cette fois, je crois que ce dîner pourra se voir!
Mais où et en quelle demeure et à quelle heure?

Merci de votre aimable invitation.

Mes meilleurs sentiments

Paul Valéry

Passy - 15.07 - avant 10h m.

LIST PAUL VALERY DO JANA LECHONIA

Ale jeśli takie były intencje tego żartu oceniał on powierzchownie los obu poetów. Bo Mallarme, nauczyciel angielskiego w liceum, daleki od światowości i zaszczytów pędził w gruncie rzeczy bardziej pańskie i bardziej godne wielkiego artysty życie niż Valery, niewolnik salonów, rozrywany przez wielkie snobinety i sadzany zaraz po ambasadorach.

Valery przez pięćdziesiąt lat życia, obcy zupełnie temu wielkiemu światu, urzędnik najpierw w Ministerstwie Wojny, później w Agencji Havasa zarówno swój wybór do Akademji na miejsce Anatola France'a jak też nagłe odkrycie, że jest obok Filipa Berthelot najświetniejszym rozmówcą w Paryżu — przyjął ze szczerym humorem i naiwną ciekawością co z tego wyniknie.

Uznawał on autorytety tylko jako konwencję światową i dla siebie nie robił od tej zasady wyjątku. To też nikt kto go znał nie mógł mieć wątpliwości, że owe nieoczekiwane fawory nie pójdą mu do głowy. Ani przez chwilę nie miał się też nigdy Valery za nikogo więcej niż był w istocie, dlatego tylko, że przez kilkanaście lat żaden wielki obiad w Paryżu nie mógł być dość świetny, jeśli on go sobą nie uświetnił.

Czego napewno nie przewidział, godząc się na to, co mu się zdawało żartem losu, to prawdziwej niewoli, w którą miał go ów żart wplątać. Zdecydowawszy się uznać nawpół serjo owe hierarchje, pierwszeństwa przy stole i obligacje — ani się spostrzegł, gdy zabrnął w nie tak głęboko, że nie miał już sił, aby się z nich wydostać.

Jak wszyscy Francuzi oszczędny, a niezdolny dosyć zarobić swoją skąpą twórczością wmówił w siebie, że jedynie odczyty po wielkich salonach mogą go utrzymać — że zaś tych mieć nie będzie bez owego salonowego życia. Było to oczywiście złudzenie, za które zapłacił wielu godzinami straconemi dla tego czem żył naprawdę i rosnącą melancholją poczucia że marnuje ostatnie lata.

Z okrucieństwem, które Proust jeden mógłby oddać te i ci, co tak nadużywali jego konwersacji podkreślali teraz każde jego mniej świetne powiedzenie, każde jego słowo, które rzekomo było niegodne "króla rozmowy".

Udręczony tym konfliktem i nieswoją rolą, w którą zabrnął, pozostał przecież Valery nazawsze sobą, nazawsze poetą i filozofem, broniącym się sceptyczną maską od ukłuć życia. Z ostatnich dzienników Gide'a dowiedzieliśmy się, że kiedy skończyły się salony i przyszło najcięższe życie, Valery jakby odnalazł się, odnalazł swój humor i wiarę, płynącą z poczucia kim jest naprawdę i że od żadnego powodzenia nie zależy.

Był podobno źródłem tej wiary dla innych, na codzień bardziej ufnych, mniej sceptycznych i w tych najcięższych czasach napisał swoje dzieło, rozmiarem największe "Nowego Fausta", który z powodu kryzysu papieru nie mógł wyjść dotąd z druku i teraz dopiero nam powie ostatnie słowo o wielkim poecie.

Nie wiemy, czy Valery, który tak mężnie zniósł prawdziwy niedostatek, głód i ciągłą grozę śmierci, nie ugiął się pod spełnioną nadzieją tych strasznych lat, pod nową rzeczywistością, mającą za cel ostateczny kawałek chleba i szklankę wina. Nie wiemy czy czuł w sobie dość siły, aby doczekać się innych lat, czy widział dość czytelników dla swej poezji, czy sukcesy Aragona, piszącego w nowej formie sentymentalno-patrjotyczne wiersze niczem Deroulede zdeprawowany przez Apollinaire'a nie wydały mu się znakiem, że jest w tej chwili i może nazawsze niepotrzebny?

Bo to, co zdawało się tak śmieszne i napozór należało do proustowskich fenomenów towarzyskich, światowy sukces Valery'ego wynikał przecież z przyczyn głębszych, świadczących najlepiej o kulturze francuskiej.

Ceniąc go tak wysoko, dając mu tak wielką światową rangę, mówiono tem, że cześć oddawna we Francji poezji jest czcią dla poezji samej, bez względu na jakiekolwiek jej społeczne czy pedagogiczne wartości.

Pani de Noailles wzbudziła napewno więcej niż Valery lirycznych wzruszeń, Henri de Regnier

był znacznie bardziej niż on człowiekiem salonu, za wielkim Claudelem przemawiały jego wielkie rangi, jego prawowierność a przecież tylko Valery, który pisał "poezje czyste" zdobył owo miejsce, niejako urzędowe, które dawano tylko wielkim nazwiskom i wielkiej narodowej zasłudze.

Nie mogło mu ono napewno imponować, ale miał prawo być z niego dumny dlatego, że dając mu je, czciła Francja abstrakcje jak korzyści, czystą poezję jak wygrane bitwy.

Z cieni o ileż lepszych czasów, w które teraz Valery odchodzi — napływa ku mnie wspomnienie a w niem zachwyt dla poezji Valerego miesza się z poczuciem jego pełnej dowcipu ludzkości.

I oto przypomina mi się jedno śmieszne zdarzenie z lat, kiedy moje stanowisko w Ambasadzie w Paryżu zmuszało mnie, nie wbrew mym chęciom zresztą, aby poznawać jaknajwięcej wpływowych ludzi ze wszystkich dziedzin życia i prowadzić wedle mych możliwości owo życie ciągłych śniadań i obiadów. Poznanie Valery'ego a później "dostanie go na obiad" było dla mnie wtedy przedmiotem jakby sportowej ambicji, gdyż oznaczało to niejako konsekracją mego "salonu".

Z sukcesu w tych zabiegach pozostał mi jako pamiątka list Valery'ego, cudem zachowany, na który dziś patrzę z rozrzewnieniem, myśląc, że tak jak Valery nigdy w swej światowości nie zatracił poczucia komizmu, mnie też, jeśli można wielkie z małem porównać, los oszczędził tego abym stał się typowym dyplomatą.

Nie jestem szczególnie roztargniony, ale w rozgardjaszu, w jakim wtedy żyłem, napisałem do Valery'ego zaproszenie, podając tylko datę obiadu, zapominając o godzinie, adresie i stroju.

Valery miał wieczór wyjątkowo wolny, odpisał mi więc miłym listem, który w wolnym przekładzie polskim brzmiał jak następuje: "Tym razem mogę przyjść. Ale gdzie, o której godzinie i w jakim stroju".

Pamiętam doskonale ten obiad, obmyślany do najdrobniejszych szczegółów, które w ostatniej chwili jak w klasycznej komedji omyłek wszystkie niemal zawiodły. Połowa gości zachorowała, ludzie niedobrani siedzieli obok siebie, kucharka spóźniła się; stanowczo los chciał mi dać wtedy nauczkę, abym tych rzeczy nie brał zanadto na serjo.

Zresztą jak było do przewidzenia ów obiad z Valery'm pomimo wszystko uświęcił moją sytuację światową w Paryżu.

Przyszły minister spraw zagranicznych Yvon Delbos, naówczas wiceprezydent parlamentu i jego szef gabinetu, szra eminencja partji radykalnej, drogi i niezawodny Henri Laugier, obaj entuzjaści poezji Valery'ego zawsze mile mi to pamietali, że poznali go osobiście w moim domu.

Patrząc teraz wśród paru innych na tę zabawną kartkę, przypominam sobie drobną, nerwową sylwetkę Valery'ego, opadającą na czoło jego siwiejącą czuprynę, jego mowę szybką i niewyraźną, zarazem ciepłą i ironiczną, nigdy przez złośliwość tylko przez inteligencję.

Widzę go na śniadaniu u Anatola Muhlsteina, znudzonego sąsiedztwem bardzo znakomitej zresztą damy, która daremnie stara się przypomnieć sobie jakiś cytat, bąkając "Comme disait L'amiral, L'amiral..."

"L'Amiral Cambronne" podpowiada z komiczną powagą Valery.

Albo nazajutrz po sławnych wypadkach na placu de la Concorde, jeden z krytyków paryskich usiłuje przedstawić Valery'emu ich przebieg i objaśnia, że brali w nich udział: "Les gens tout a fait bien, enfin les gens comme nous".

"Meme mieux" kończy Valery z komiczną melancholją.

Jakąż tragiczną ironją przemawia do mnie teraz wspomnienie z przyjęcia marszałka Petain'a do Akademji Francuskiej, na którem Valery witał go mową, jednem z arcydzieł swej wszechstronności i swego stylu. Jakby dziś brzmiały, słyszę oklaski sali przepełnionej nietylko najbardziej szykowną, ale naprawdę najlepszą publicznością Paryża. Petain wyniosły w swoim legendarnym jasnobłękitnym mundurze, wcielający wtedy epopeję Verdun, mały Valery w zielonym fraku, mówiący o strategji tak biegle jak o wierszach.

Czyż mógł ktoś przypuszczać, że te same tłumy, które najsłuszniej witały wtedy Petaina burzą oklasków, będą teraz z równą słusznością odwracać głowy, gdy będzie przejeżdżał, otoczony żandarmami na sąd, jako jeden z największych przestępców stanu w historji swej Ojczyzny.

Czyż w porównaniu tych dwu obrazów — nie mieści się rozmiar przemian, niepojętych, zdawałoby się od żadnej ludzkiej woli niezależnych przemian, które przyniosła sama biologja historji, napozór ślepa a w końcu zawsze mająca rację.

I czyż Valery tak zawsze śmiało patrzący w oczy takim prawdom, zawsze filozof — nie mógł zamknąć oczu na widok tych "rzeczy o których nie śniło się filozofom". I czyż nie mógł powiedzieć sobie, że jego wiersze zostaną nieśmiertelne, ale że on widział już stanowczo zadużo".

PAMIĘTAJ O

UWOLNIONYCH

JEŃCACH - POLAKACH



Generał Mark Clark w czasie wizytacji II Korpusu.
Obok niego stoją: gen. Anders, Gen. Szyszko-Bohusz i Gen. Duch.

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

NOWE NOCE LISTOPADOWE

(Dalszy ciąg)

DRUGI ŻYD (czujnie pochwyciwszy w jej głosie, ostrzegawczą nutkę) — Widzi pan, pani rozumie... Chodźmy, panie Wajzbrot... — (Podchodzą do furtki i niezgrabnie wbijają w koks łopaty).

GÓRSKI — Nie tak, nie tak... trzeba podjechać pod piwnicę. I proszę zrzucać tymczasem na ziemię... — (Słychać głos drugiego Żyda "Wjo", furka rusza i oto tylne koła niemal całkowicie znikają za rogiem willi odsłaniając dwie dotąd niewidoczne grządki w głębi: przejście między grządkami przykryte jest połówką drzwi. Swidrzyński i Górski przez chwilę patrzą w tę stronę. Wilczyński nie rozumiejąc ich wzroku, wyciąga szyję. Ale i Świdrzyński i Górski już się wyprostowali spokojnie).

URSZULA (w oknie) — Dziadku, poproś pana Wilczyńskiego, żeby pokazał... jak szyby wstawić. Panowie wejdą do środka.

WILCZYNSKI — Owszem, z przyjemnością. — (Podciągając za rzemyk nogę, kusztyka po schodkach. Swidrzyński idzie wślad za nim.)

URSZULA (gdy Wilczyński znika za drzwiami, do dziadka) — Zatrzymasz go jak najdłużej! — (Swidrzyński kiwa głową i znika. Urszula chłodno, z góry patrzy na pozostałego w środku podwórka Górskiego.) — Jest pan trochę za ponury. Trzeba naturalniej. Nie mógłby się pan uśmiechnąć?

GÓRSKI — Pewnie, że mogę. — Bardzo nienaturalnie wyszczerza zęby.

URSZULA — Nie! To już lepiej niech się pan nie uśmiecha! Ma pan na oku?

GÓRSKI (patrząc w stronę ostatnich grządek, wesoło) — Maam!

URSZULA (poprzez szurot sypiącego się koksu i brzęk łopat) — Kiedy skończą przeniesiecie razem z deską? Pan go przywiązał?

GÓRSKI — Przymocowałem drutem.

URSZULA — Przeniesiecie na wózek, a potem trzeba będzie z powrotem przysypać koksem.

GÓRSKI (beztrosko) — Wiem.

URSZULA — Panom to dużo czasu zajmie?

GÓRSKI — Z półgodziny.

URSZULA — Bo ja muszę wiedzieć, jak długo tamtego przytrzymywać. Niech pan się ciągle nie odwraca. Stoję i patrzę. Kiedy zobaczę, że idzie, powiem coś.... coś powiem.... no dajmy na to.... słońce już nie grzeje...

GÓRSKI — Dobrze... Wilczyńskiego lepiej się pozbyć.

URSZULA — Ja go dla siebie tymczasem zostawiłam. Ale jak trzeba, to się pozbędziemy. Idzie o to, że prawdopodobnie będę musiała — (gest, mający oznaczać, że ma na myśli Krygiera) — ...zaciągnąć do domu... żeby tu nie przeszkdzał. Chciałbym żeby wtedy ktoś był w pobliżu. Bo.... (ten sam gest) ma usposobienie raczej murzyńskie niż nordyckie.

GÓRSKI (nagle) —Nie, nie, panie! Niech pan tam nie siada! — Cisza.

URSZULA (spokojnie) — Chciał usiąść na desce?

GÓRSKI — Tak.

URSZULA — . . . już spaliłam

GÓRSKI (uśmiechając się sztucznie, rysuje w powietrzu rękami coś w rodzaju walizki, którą podchwytuje za niewidzialną rączkę.) —Taak? Pani o tem?

URSZULA — Tak... Mówiłam panu, żeby się pan tak nie uśmiechał. Przecież to Bóg wie, jak z boku wygląda. — Już nie słychać, ani brzęku łopat, ani szmeru sypiącego się koksu. (Zza rogu ostrożnie wychyla się drugi Żyd).

DRUGI ŻYD — Czy już to wszystko? Można powiedzieć, że tam nic nie było.

GÓRSKI — Wszystko, panowie.

URSZULA — Idą?

GÓRSKI — Jeszcze nie... — (Przerwa. — Odpoczywają).

URSZULA — Niech pan pokaże, gdzie to było?

GÓRSKI (Nieznacznie podnosząc ramię, wskazując za dom w przejście) — Z tamtej strony. Wyszedł tędy. Zza węgła.

URSZULA — Dlaczego tak... cicho to się odbyło?

GÓRSKI — Taki ze względu na rangę nie będzie wołał ratunku.

URSZULA (po przerwie) — Są?

GÓRSKI — Są... Zetknęliśmy się w ciemnościach jak dwa samochody. Wypuścił walizkę i odrazu za.. — (łapie się za gardło).

URSZULA (przerywa ostrzegawczo) — Dosyć..

GÓRSKI (po przerwie) — Już idą! Wreszcie!

PIERWSZY ŻYD (ukazując się z za domu) — Może coś jeszcze potrzeba?

GÓRSKI — Nie panowie. Z Bogiem.

DRUGI ŻYD — Dziękujemy. — (Uniżenie kłaniając się obaj odchodzą).

URSZULA — W samą porę. (Nie zmieniając tonu głosu)— O właśnie! Słońce świeci, ale zupełnie, zupełnie nie grzeje.. — Górski szybko, nie odwracając sę idzie na lewo. Natomiast ścieżką sąsiedniej willi, niespiesząc idzie Krygier z fajką w ustach, trzymając ręce w kieszeniach kurtki. Spostrzegłszy Urszulę stojącą w oknie, zamiera i wychwytuje z ust fajkę. Szybkim krokiem podchodzi do ogrodzenia. Uchyla kapelusza.

KRYGIER (zdławionym głosem) — Dzień dobry pani.

URSZULA — Dzień dobry.

KRYGIER — Czy nie zechciałaby pani wyjść? To przecież ostatnie słoneczko przed zimą.

URSZULA — Zaraz zejdę. — (Znika w oknie, potem wychodzi na ganek i płynie w kierunku ogrodzenia. Spostrzegłszy leżącą w przejściu między grządkami deskę, potyka się nieznacznie, w sposób ledwie dostrzegalny, ale już w chwili następnej, opanowawszy rytm kroku, bez śladów jakiegokolwiek wzruszenia, podchodzi do ogrodzenia i podaje rękę Krygierowi.

KRYGIER — Pani znów wygląda dzisiaj inaczej. Każdy raz inaczej. Zawsze pani ma takie jasne oczy, a dzisiaj ciemne... Dlaczego?

URSZULA — Czy to pan przysłał tych panów?

KRYGIER — Jakich panów?

URSZULA — Do roboty?

KRYGIER — Ah, panów z gwiazdami! — (Jest trochę ubawiony. Nie kryjąc zadowolenia z samego siebie. — Nie mogłem przecież pozwolić, żeby pani sama! Zresztą to taki drobiazg! Nie warto dziękować...

URSZULA (chłodno) Ja nie dziękuję.

KRYGIER (połapawszy się w tym chłodzie). — A wie pani... dlaczego ja to zrobiłem?

URSZULA — Może żeby się znęcać?

KRYGIER (z wyrzutem) — Panno Urszulo! Chciałem tym biedakom pomóc.

URSZULA — Nie wiedziałam, że jest pan z Niemcami aż w takich stosunkach, że może zwalniać z robót.

KRYGIER — Nie potrzeba stosunków. Wystarczy dobrze znać język. A przecież pani wie, że ukończyłem studja we Wiedniu. Cudne miasto.— (Przechyla się przez ogrodzenie) — Chciałem pani coś powiedzieć.. Ale, kto się tam kręci?

URSZULA — Może to do ojca.

KRYGIER — Panie...

GÓRSKI (z za domu) — Co takiego?

URSZULA — Co on panu przeszkadza?

KRYGIER — Chce pan papierosa?

GÓRSKI (podchodząc, swobodnie) — Jeżeli pan da!

KRYGIER, dając mu gumową torebkę. — To niech pan sobie skręci z fajkowego.

GÓRSKI, przesypując tytoń między palcami) — Mała rzecz! gdański...

KRYGIER — Pan tutejszy?

GÓRSKI (łupkowato) — Ja?

KRYGIER (zniecierpliwiony) — No pan!

GÓRSKI — Jak to tutejszy? Gdański! Odrazu widać....

KRYGIER (wzdychając) — Aaah.. A co pan tu robi? Czeka na kogo?

GÓRSKI (z tępym gniewem) — Wiadomo, że czekam! Na Wilczyńskiego... Cóż z tego, że pożyczyłem mu konia, kiedy mi się akurat zarobek trafił! Niech teraz odda konia, albo sam płaci...

KRYGIER — Aha... to pański koń?

GÓRSKI — A czyj?

KRYGIER (machnąwszy ręką) — No to idźcie już sobie!.. — Górski znika za domem). — Gdzie by się schować od ludzi?...

URSZULA — Może u nas?

KRYGIER (drgnąwszy radośnie)— Co pani powiedziała? (Urszula milczy) — Może wreszcie pozwoliłaby pani złożyć państwu wizytę? Naprawdę? Tak dawno o to panią proszę!.. Zaraz przeskoczę przez płot. — (Opiera się o ogrodzenie i podciąga się na rękach, chcąc przeskoczyć w tym właśnie miejscu, gdzie widnieje deska złamanych drzwi.

URSZULA (nieruchomiejąc, martwym głosem). Na miłość boską, niech pan tutaj tego nie robi! — Wyciąga ramię.

KRYGIER (pochwytuje jej dłoń) — O nie trzeba wyrywać ręki! Proszę podejść bliżej.. Bo skoczę... — Urszula robi kilka kroków, zbliżając się ku ostatnim grządkom) — Bliżej!

URSZULA — Dokąd mnie pan prowadzi.?

KRYGIER — tutaj — wskazując deskę) — gdzie sucho. Nie mogę patrzeć, jak pani stoi w błocie w swych cieniutkich pantofelkach.

URSZULA — Jest mi dobrze, gdzie jestem.

KRYGIER — Przeskoczę i upadnę do pani stópek. Tak bym pragnął leżeć tutaj, u nóżek pani, zabłoconych miłych nóżek... Czemu się pani uśmiecha?

URSZULA — Bo może i ja bym tego chciała...

KRYGIER — Co... (Lecz wstrzymuje westchnienie, bo drzwi ganku otwierają się i ukazuje się Wilczyński. Wychylony przez okno Swidrzyński, najwidoczniej zaniepokojony woła wślad za nim).

SWIDRZYNSKI — Niech pan jeszcze chwilkę poczeka!

WILCZYNSKI — Kiedyż nie mogę, panie szanowny!

URSZULA (odwracając głowę i niepostrzeżenie cofając się od deski) — Wstawił pan szyby?

WILCZYNSKI — Przymocowałem sztyfcikami. Trzeba będzie kitu zgotować... Aj, aj... zapomniałem obrazki. (Wraca).

KRYGIER — Jesteśmy naprawdę jak na placu publicznym. Więc pozwala pani? Przyjdę zaraz do państwa. Na pół godziny.

URSZULA — Dobrze, tylko niech pan obejdzie naokoło. — (Krygier znika. Wówczas zza domu szybko wychodzi Górski.)

GÓRSKI — Trzeba spławić Wilczyńskiego. Nic nie rozumie. Jeszcze wsypie nas wszystkich. — (Jednocześnie na ganek wychodzą Swidrzyński i Wilczyński.)

URSZULA (z kiwnięciem głowy w ich stronę.) — Proszę powiedzieć ojcu! — (Górski biegnie przez podwórko, chwyta Świdrzyńskiego za rękę i coś mu szepce do ucha)

SWIDRZYNSKI — dobrze, zaraz. (Podnosząc głos do Wilczyńskiego) — Nie! nie mogę się zgodzić! Jestem obrażony. I tego koksu przyjąć od pana nie mogę i nie chcę!... Nie, nie! — (W przejściu między furką a domem ukazuje się i przystaje na chwilę zaciekawiony i ubawiony Krygier. — Muszę panu zapłacić, albo niech pan zabiera koks z powrotem!

WILCZYNSKI (oszołomiony) — Czy pan tego!...

SWIDRZYNSKI — Nie potrzebuję niczyjej łaski! — Udając, że dopiero teraz spostrzega Krygiera — A, to pan?

KRYGIER — Do państwa z wizytą. Po sąsiedzku. Wieczorem chodzić nam nie pozwalają, to my będziemy z rana. Nieprawdaż? Dobre czasy, co?

SWIDRZYNSKI — (jeszcze sapiąc). — Właśnie... właśnie... — Krygier podchodzi do Urszuli i razem z nią idzie na ganek.

KRYGIER (psim uniżonym wzrokiem oglądając jej pantofelki.) — Widzi pani, ile błotka! (wchodzą na ganek).

SWIDRZYNSKI (znowu unosząc się sztucznie. — Nie! niech pan, Panie Wilczyński, więcej o tym ze mną nawet nie mówi. — Krygier przystaje pod drzwiami. — Jeżeli pan nie chce, to trudno!... (Do Górskiego) — Pomoże mi pan naładować koks z powrotem?

KRYGIER — No niech pani zobaczy, wszędzie waśnie. I jak pani chce, żeby nie było wojny, skoro nawet przyjaciele się kłócą. (Wzdycha. Razem z Urszulą znakają za drzwiami. Wówczas Swidrzyński chwyta Wilczyńskiego za ramię i potrząsa nim z całej siły.)

SWIDRZYNSKI — Idźże pan, idź! (Teraz dopiero Wilczyński po jego twarzy rozumie, że sę coś stało i pośpiesznie kusztyka za dom. Górski pozostaje w środku podwórka, spodelba obserwując okno w którym po chwili ukazują się postacie Krygiera i Urszuli. Krygier wyciąga ramię i układa usta w sentymentalną rureczkę, lecz Urszula spogląda na niego z zimno i zniechęcająco, że samemu Krygierowi wszelka agresywność zaczyna się wydawać głupim nietaktem. Otrząsa się i znika w ślad za nią. Terz w oknie nie widać nikogo. Górski rzuca papierosa na ziemię i podnosi rękę).

GÓRSKI — Już można.. — (Z za domu ukazuje się Swidrzyński i oto obaj biegną ku ostatniej grządce i pochylają się nad deską, żeby ją podnieść.

Koniec aktu 2go.

Statement by Jan Ciechanowski, Ambassador of The Republic of Poland

IN REPLY TO UNITED STATES RECOGNITION OF THE SO-CALLED WARSAW GOVERNMENT

The Ambassador of Poland presents his compliments to the Secretary of State and has the honor to acknowledge receipt of the note of the Secretary of State of July 5, 1945 quoting the text of a public statement which the President is to make at 7:00 p. m., Eastern War Time, today, and the text of the communication which the American charge d'Affaires ad interim near the Polish Government in London has been instructed to deliver to the Polish Foreign Minister.

In reply to this note informing him that the Government of the United States has recognized effective at 7:00 P. M. Eastern War Time, July 5, 1945 the new Polish Provisional Government of National Unity as the Government of the Rtpublic of Poland, and that it has withdrawn the Mission of the American Embassy near the Polish Government in Exile in London as of that time, the Ambassador, acting on instructions of his Government, has the honor to state the following:

1. I was appointed to my present functions as Ambassador of Poland to the United States by the legitimate Polish Government which has not recalled me nor instructed me to relegate my functions to any other person. The Polish Government has not ceased to exist for the Polish Nation whose sole constitutional and independent representative it continues to remain. Being an official of the Republic Poland I am pledged to remain loyal and obedient to that Government and without instructions from it I have no right to relegate my functions and powers to anyone appointed by the so-called Polish government headed by Messrs. Bierut and Osóbka-Morawski.

2. The authority of the Polish Government to which I owe my allegiance is based on the Constitution of April 23, 1935, which the Polish Nation has not changed and which it is not in a position to change freely and according to its own will in the conditions of pressure under which it finds itself today.

On the basis of the aforesaid Constitution the

Polish authorities have maintained diplomatic relations with the Government of the United States and on the same basis they concluded agreements with that Government. When Poland entered into the present war against Germany, the Constitution of 1935 was in force. It is also in accordance with this Constitution that the President of Poland, before leaving his country in September, 1939, relegated his powers to the present President of Poland, by appointing him as his successor. The powers of the latter have until now not been questioned by any Power with the exception of the Soviet Union.

Throughout the war the Polish Nation made enormous sacrifices for the cause of Freedom. The Resistance Movement in the Homeland as well as the Polish Armed Forces on all fronts — on land, on sea, and in the air — fought the enemy unceasingly. The occupied Homeland and the leaders of the Resistance in Poland never ceased to recognize the authority of the Polish President and of the Government appointed by him.

Consecutive Polish Governments formed on the basis of this Constitution, concluded the principal agreements concerning Poland with other States. Among these, which include in their number also all the bilateral undertakings entered into during the war and concerning military, naval, avintion, financial, economic and shipping matters, I wish in particular to mention:

a. The Agreement between Poland and the United Kingdom signed at London on August 25, 1939, concerning Mutual Assistance.

b. The Polish-French Protocol, signed at Paris on September 4, 1939, concerning the execution of the Polish-French Alliance.

c. The Agreement between Poland and the USSR, signed at London on July 30, 1941.

d. The Agreement concluded at Washington between the Polish Government and the Government of the United States on July 1, 1942, concerning Lease and Lend, known as "Mutual Aid Agreement."

Furthermore, multilateral agreements to which the Polish Government is a party, include:

1. Declaration of the United Nations, signed at Washington on January 1, 1942, embodying the Atlantic Charter and known as the "Declaration of the United Nations."

2. Inter-Allied Declaration against acts of dispossession committed in territories under enemy occupation or control, signed at London on January 5, 1943.

3. The final Act of the United Nations Food and Agricultural Conferences, signed at Hot Springs on June 3, 1943.

4. Agreement to set up an United Nations Relief and Rehabilitation Administration, signed at Washington on November 9, 1943.

5. Final Act of the Monetary and Financial Conference of the United Nations, signed at Bretton Woods on July 22, 1944.

6. Agreement on Principles having Reference to the Continuance of Coordinate Control of Merchant Shipping, signed at London on August 5, 1944.

7. International Sanitary Conventions, signed at Washington on January 5, 1945.

8. The International Agreement and the Final Act of the International Civil Aviation Conference, signed at Chicago on December 7, 1944.

When all the said Agreements were being concluded not one State questioned the validity of the Constitution of 1935 or of the powers of the Polish President and of the Government of his appointment. Neither was any doubt ever raised by such States as to the right of the Polish President and Government to lead the Polish Nation in the struggle command over the Polish Armed Forces fighting at the side of the Allied Nations.

3. Poland, still now remaining as it does under a foreign occupation and under the ruthless control of foreign military and police forces, is not in a position to change its constitution by legal means and to choose freely a parliament and executive aut. ority, nor is it in a position to carry out these changes, if it so desired, by revolutionary means. Any changes therefore, which have occurred in Poland are not the result of the will of the Polish people, expressed legally or by revolution. The war which started in Poland in defense of her independence ended in depriving her of that independence endd in depriving her of that independence and in placing our country under the direct control of a neighboring power.

In these circumstances neither my Government nor I, as its Representative, are in a position to recognize such changes.

4. The first attribution of the independence of a State is its freedom to choose its Government. In the present circumstances the source of the authority of the Government headed by Messrs. Bierut and Osóbka-Morawski is a decision made not by the Polish Nation but by three foreign Powers, one of which controls de facto the whole administration of Poland through its army and police forces. The legal basis of the authority of that government cannot be regarded as better funded than that of the so-called government set up in occupied countries during the war by Germany. In both cases they are based on the will of a foreign power.

The persecution which thousands of Poles are enduring in Poland today, and which affects in the first place those who have given active evidence of their desire for an independent State by opposing with arms the German invader, is a further proof that the government of Messr. Bie-

rut and Osóbka-Morawski in no way represents the will of the Nation but constitutes a puppet government imposed on Poland by force from without.

5. In these circumstances, acting upon instructions from my constitutional Government, I protest most solemnly against the recognition of Messrs. Bierut and Osóbka-Morawski by the Government of the United States, for this amounts to recogniton of the suppression of Poland's independence and of the foreign rule in Poland which is already being exercised there in actual fact. For the second time in history the Polish Nation is being deprived of its independence, though this time not as a result of events which took place in Eastern Europe alone, but as a result of a war which the United Nations waged in the name of law and justice. Notwithstanding the recognition of this state of things by other States, the Polish Nation will never give up its right to an independent State, and for this right it will struggle unwaveringly.

OPINJE I ZDARZENIA

ŚP. MARJA PAWLIKOWSKA

W chwili, gdy ten numer idzie na maszynę dochodzi nas wiadomość, że Marja z Kossaków Jasnorzewska, która jako Marja Pawlikowska zasłynęła w naszej poezji, zmarła po długiej chorobie w Manchesterze.

Była ona obok Kazimiery Iłłakowicz największą poetką polską i jednym z najpierwszych poetów polskich naszego czasu. Już pierwszy jej tom wydany lat temu dwadzieścia parę "Niebieskie migdały" okazał jej indywidualność niezwykłą wyrażoną odrazu z pełnem mistrzostwem. Pawlikowska wniosła do poezji naszej ton własny, czarującej zmysłowości, niezwykle subtelnego estetyzmu, połączenie jej tylko właściwe wartości intelektualnych i uczuciowych, które stapiały się w poezji tak bezpośredniej, jakby wyszła tylko z podświadomości. Kilkanaście następnych tomików Pawlikowskiej były drogą do coraz bardziej skupionego wyrazu, do lakoniczności klasycznej, w której wreszcie zamknęła ostatnie swe, tragiczne, już z lat wygnania przeżycia. W uczuciach jej nie było nigdy połowiczności, w jej drobnej, czarującej figurce tliła się potężna namiętność, która ją spalała. Z tą namiętnością, nie znającą granic i ukojenia powierzyła się Marja Pawlikowska tęsknocie do kraju i buntowi przeciw wojnie; te uczucia też pochłonęły ją i zabiły.

Napiszemy o niej obszerniej w jednym z najbliższych numerów "Tygodnika"; w tej chwili — na wieść o śmierci świetnej poetki, drogiej Lilki przyjaciółki, z którą związane są najpiękniejsze nasze poetyckie lata, dajemy tylko wyraz żałobie, co dodaje jeszcze kiru tak bardzo w żałobie już będącej naszej literaturze.

UMARŁ BRUNO WINAWER

Umarł w Warszawie Bruno Winawer, doskonały komedjopisarz, którego bardzo oryginalne komedje, jak "R. H. Inżynier", "Księga Hioba", "Rycerz z łabędziem" były jednemi z największych sukcesów naszych teatrów w okresie po pierwszej wojnie. W następnym numerze "Tygodnika Polskiego" podamy obszerne wspomnienie o nim, napisane przez Katarzynę Bestermanową.

ŚP. ROMAN PALESTER

Umarł w Polsce, nie wiemy kiedy i w jakich warunkach — Roman Palester jeden z najzdolniejszych kompozytorów młodego pokolenia, które ukształtowało się pod wpływem Karola Szymanowskiego. Palester miał wiedzę muzyczną niezwykłą, był kompozytorem o fachu doskonałym i bogatej inwencji; jego balet "Pieśń o ziemi" wystawiony świetne przez Niżyńską odbył wraz z Baletem Polskim podróż naprawdę tryumfalną po Europie i miał doskonałe krytyki w Paryżu.

OŁTARZ MARJACKI ODNALAZŁ SIĘ

Radosna wiadomość, jedna z jakże niewielu, że ołtarz Marjacki, arcydzieło Wita Stwosza odnalazł się, niezniszczony i nietknięty. Jego zaginięcie opłakiwaliśmy jak śmierć najdroższych, obawa jego utraty nazawsze była nieznośnie dręczącą nas myślą. Mamy nadzieję, że ołtarz wróci na swoje miejsce i że nikt go stamtąd nie ruszy. Że będzie szła ku niemu modlitwa z całej Polski, modlitwa za Polskę, o jej wolność prawdziwą, o uratowanie jej dzieci i o zachowanie jej kultury, dziś niemniej zagrożonej, niż wtedy, gdy ołtarz wynoszony był z kościoła Panny Marji.

"WYPJEM ZA LISTA, LISTA DARAGOWO"

Nasz miły przyjaciel, doskonały młody pianista Eugene List, obecnie sierżant armji amerykańskiej grał w Berlinie po obiedzie "Wielkiej Trójki". Gra jego tak podobno podobała się Stalinowi, że podbiegł do młodego pianisty, ściskał go za ręce i dwukrotnie, jak pisze prasa amerykańska, wznosił toast na jego cześć. Pani Carole List, żona pianisty, sama

W POPRZEDNIM 28(133) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

też doskonała skrzypaczka, dowiedziawszy się o tem, zakrzyknęła do reporterów "Stalin is delighted. It is tremendous".

Znając Rosję lepiej niż tutejsza prasa i niż sympatyczna pani List— nie widzimy z powodu tej historji okazji do dumy i zachwytu. Poglądy "generalissimusa" na muzykę są bowiem bardzo specyficzne i nie należy zapominać, że to właśnie "generalissimus" osobiście interwenjował przed laty w sprawie Szostakowicza, którego muzykę uznał za burżuazyjną i kazał ją zmienić na proletarjacką.

Tak rozczulający prasę nowojorską dwukrotny toast Stalina na cześć Lista jest dowodem poprostu, że "generalissimus" tęgo sobie popił i jak to zawsze w Rosji bywa w takich okolicznościach, toastował na prawo i lewo. Były więc pewno toasty na cześć Lista, na cześć "Welkiej Trójki", na cześć "Małej Trójki", tj. Mołotowa, Edena i Byrnesa, na cześć Bacha, Bethovena i Szopena, może nawet na cześć Osóbki. I walono kieliszkami o ścianę i śpiewano "Wypjem za Lista, Lista darogowo".

Wyobrażać sobie, z tego powodu, że młody List naprawdę rozczulił "dziadzię", że wzbudził w nim jakieś artystyczne wzruszenia — jest to rozbrajająca naiwność.

Nie mówiąc o tem, że Polonez A-dur grany przez Bogu ducha winnego chłopca przed Stalinem, w chwili, gdy Polacy gnani są znów na Sybir i cierpią niewolę, przeciw której właśnie wzniosła się muzyka Chopina — jest to naprawdę krwawa ironja i temat do satyry jakiej jeszcze nie było.

NIEWINNE ŻYCZENIE

Generalissimus Stalin obiecując Ameryce różne koncesje — tak sobie od niechcenia powiedział parę dni temu ,że Rosja musi mieć potężną flotę. Wobec tego, że połknęła ona pół Europy, a teraz zabiera się do Azji — to życzenie jest oczywiście zupełnie naturalne i usprawiedliwione. Ale przez to właśnie iż w obecnej sytuacji narzucające się samo przez się, może uświadomić ono właśnie Stanom Zjednoczonym, że potęga Rosji, którą one zbudowały — nie zatrzyma się ani na Polsce, ani na Dardanelach. Ameryka nie rozumie wielu spraw lądowych — ale każdy Amerykanin ma we krwi poczucie tego, czem jest flota. Czyż ostatnie powtarzamy, zupełnie konsekwentne życzenie Stalina nie rozjaśni wreszcie jego istotnych celów.

SOLIDARNOŚĆ HARCERSKA



Przedstawicielki harcerek amerykańskich, kanadyjskich i brazylijski w czasie pięknej uroczystości wręczyły Dr. Leopoldowi Obierkowi, reprezentantowi na Stany Zjednoczone harcerstwa polskiego, pierwszy egzemplarz książki podręcznej dla skautek polskich, wydrukowanej staraniem i kosztem tych organizacji.

"BENIOWSKI PRAWDZIWY"

Leon Orłowski, były nasz minister w Budapeszcie, teraz zamieszkały w New Yorku, napisał pracę naprawdę sensacyjną a zarazem nieposzlakowanie naukową, świetnie udokumentowaną i pełną odkryć, która, mamy nadzieję, ukaże się niedługo w druku, świadcząc pięknie o ambicjach autora i zarazem wzbogacając naprawdę naszą literaturę historyczną.

Praca ta jest naukową konfrontacją pamiętników Bieniowskiego z rzeczywistością historyczną, konfrontacją tak sumienną, że jak się to mówi "mucha nie siądzie". Orłowski tak bezlitośnie, zarazem pedantycznie i dowcipnie sprawdził wszystko co było można w życiu Beniowskiego, że będziemy teraz o całych okresach jego życia wiedzieli naprawdę co się w nich stało i jakim był Beniowski prawdzwy. Książka ta jest poprostu skarbnicą odkryć, jeśli chodzi zwłaszcza o amerykański okres i amerykańskie relacje Beniowskiego, daje ona sensację za sensacją — między innemi bardzo ciekawe listy Franklina.

Nie jest ta książka bynajmniej t. zw. "odbronzowaniem" i Beniowski, choć przyłapany przez autora na wielu zagłobowych iście przesadach, wychodzi z niej jako człowiek wyższej miary, o fantastycznym rozmachu.

Będziemy czekali niecierpliwie na "Prawdziwego Beniowskiego" i cieszymy się, że są Polacy, którzy potrafią zrobić równie dobrze wszystko do czego się wezmą: posłować do obcych stolic, macać kury i pisać książki.